

Teraz spotkamy się już chyba nie prędko, pozostaje nam tylko podziwiać i oglądać pana na ekranie, a to — dla mnie przynajmniej — za mało.

Edgar uśmiechnął się i skłonił głęboko.

Po chwili z małą, ręczną walizką biegł już na przedni pomost, gdzie publiczność oczekiwała tej upragnionej chwili, w której parowiec przybije do mola i wyrzuci, jak smok z paszczy na brzeg gwarą, ruchliwą rzeszę...

— Halloo! oto jesteśmy u siebie! — darł się zawieszony na maszcie majtek z dłonią przy ustach.

Minęli stację wojennych okrętów. Ciemne, stalowe pudła krażowników leżały cicho i groźnie na wodzie, najeżone lufami ogromnych dział, jak pływające baterje. Lawirując wśród labiryntu jachtów, motorówek, statków holowniczych i handlowych, naładowanych towarem po brzegi, docierali do mola. Jak na filmie przesuwały się obok i nikły w chaosie statki amerykańskie, okręty chińskich i japońskich towarzystw handlowych, kolosy Wschodniej Kompanji, z ładunkami jedwabiu, herbaty, kauczuku, czy bawełny, bandery gwiazdzone, sztandary mocarstw Europy, flagi z „białym słońcem” — „złotym smokiem” i „wschodzącym słońcem”, twarze białe, żółte, brązowe i czarne, huczał głucho, zmieszany gwar wszystkich języków świata...

Parowiec zatrzymał się — — —

Na molo tłumy ruchliwe, nawołujące, powiewające chusteczkami i kapeluszami. Zgiełk powitań.

Smith przedzierając się cierpliwie przez zgorączkowane tłumy wydostał się na obszerny plac portowy, po którym pełzały, podjeżdżały, oddalały się niezliczone stada pojazdów, auta, tramwaje i motocykle trąbiąc, gwizdając i dzwoniąc i porywały tysiączny strumień ludzki w otchłań kolosalnej stolicy.

Jakby z pod ziemi wyrósł przed Smithem jego sekretarz prywatny, podstarzały jegomość, siwe, chude indywiduum w binoklach. Na jego skinięcie zjawiała się tuż przed nim wspaniała, lśniąca limuzyna z salutującym grzecznie szoferem.

— Dzień dobry panu, panie Davson.

— Oto pański wóz, panie Smith!

— Dobrze. Oto kwit. Proszę odebrać moje rzeczy i jechać za mną — to mówiąc Smith skoczył zręcznie do zatrzymującego się auta. Wóz ruszył.

Przez nieskończone długie ulice, aleje i bulwary pędziła, elektryczna maszyna, a wewnątrz pan Edgar Smith z rozplaszczonym na szybie limuzyny nosem radował się zawrotnym szaleństwem miejskiego życia, które kipiało koło niego jak kocioł Niagary. Sunął wzdłuż doków Wschodniej Kompanji, przecinał zielone obłoki plantacji i parków śródmiejskich, przelatując przez ogromne, kwadratowe place, otwierające się nagle przed oszołomionym okiem, jak barwne niespodzianki.

Patrzył na wylaniające się z chaosu wciąż nowe i nowe kompleksy domów, środowiska, dzielnice, — wyrastały przed nim jak olbrzymie widma piramidy ponawieszanych pięter, wież, kominów, — sześciany, stożki, iglice — kościoły, giełdy, banki i pałace, huczały żelaznym rytmem przelatujące w górze napowietrzne pociągi. Syreny fabryk darły się w niebogłosy, a potoczysty hałas ulic przyprawiał o zawrót głowy.

Miał wrażenie, że jakaś dzika, szalona karuzela wiruje naokoło niego i gra i dzwoni i śpiewa, że ze wszystkich gmachów i ulic tej rozlanej jak morze stolicy wali się na niego spieniona radość życia i dobija się do jego serca pięściami i nagłym gwałtem alarmowych dzwonków. Więc śmiał się Smith, śmiało się doń miasto i pękał ze śmiechu dystyngowany, uroczysty automobil galopujący elektrycznym pędem po szlifowanym asfalcie.

Minęli Parlament i ulicę Drapaczów, mroczną jak dno wyżłobionego w skałach kanjonu, nad którą wysoko, wysoko w górze jaśniał wąski pas błękitnego nieba.

Wóz zatrzymał się nagle.

Edgar wysiadł przed dużym gmachem, zdobnym w karjatydy podtrzymujące balkony.

Pobiegł szybko po schodach przeskakując po dwa i trzy stopnie naraz i zadzwonił ostro, gwałtownie.

Nareszcie był w domu.

Gdy znalazł się w cieniście, zbyt kownie urządzonej salonie i znużony jazdą rozsiadł się wygodnie w miękkim klu-

bowym fotelu, wzrok jego padł na czerniejącą w kącie małą pudełko telefonu.

Natychmiast, jak jasny, oślepiający błysk szczęścia wstrząsnęła nim ta radosna pewność i świadomość, że ona, ta, o której śnił tyle razy w czasie swej dalekiej podróży jest tutaj, tuż obok niego, zaplątana w tę samą gęstwinę ogromnej stolicy. Wystarczy zadzwonić, nastawić numer...

Zerwał się.

Zdawało mu się, że z maleńkiej słuchawki aparatu wiszącej niedbale wychynęła się smukła, gibka sylwetka miss Djany i wita go uroczem skinieniem główki.

Zadzwonił.

— Halloo!!

Cisza...

— Halloo!! — powtórzył drżącym głosem.

Co u diabła! Czy nikogo niema w tym domu?

— Halloo! — huknął zniecierpliwiony po raz trzeci.

I nagle wydało mu się, że z miniaturowej słuchawki spłynęła ku niemu jakaś cudna, niezmiernie subtelna muzyka.

To był jej głos...

— Kto tam? — dąsała się Djana.

— Ja — krzyknął niedowcipnie Smith.

— Nie znam takiej figury!

— Edgar!!!

— Aa!

Tu usłużna słuchawka przyniosła Edgarowi z oddali radosny okrzyk zmieszany z brylantowym śmiechem.

— Naprawdę? Proszę powtórzyć! Czy Edgar Smith?

— Do usług.

— Co za wścicka niespodzianka. Nie dałeś znać, czekałabym cię w porcie.

— To niepotrzebne. A zresztą chciałem cię „zaskoczyć”.

— Oj, zaskoczyłeś, zaskoczyłeś, bo właśnie wyskoczyłam z ciepłego łóżeczka i skaczę z radości.

— Ty śpiochu!

— Już się gniewasz! Spiesz się lepiej i przyjeżdżaj do mnie, ale zaraz, natychmiast, prędiutko. Czekam ze śniadaniem.

— Za godzinę jestem u ciebie. Polecę jak iskra elektryczna.

— No, pamiętaj, byś się nie spóźnił, bo będę płakać,

— Pa, maleńka...

— Czekam.

Smith zawiesił słuchawkę i zadzwonił na służącego.

## ROZDZIAŁ II.

### Gdzie się podział pan Edgar Smith?

Dzwonek telefonu obudził ją ze smacznego snu.

Pierwsze jej słowa rzucone w stronę natręta były szorstkie i nadąsane. No bo któż to mógł dzwonić tak bezceremonialnie i przerywać uroczej miss leniwą drzemkę, której oddawała się z całym zapalem po trudach wczorajszego dancingu.

Pozbyć się czemprędzej w dzierającego się w jej spoczynek intruza i obróciwszy do ściany spać, spać, spać na umór, jak najdłużej, bez końca — póki nie zjawi się ze śniadaniem na tacy maleńka Daisy, pokojówka.

— Kto tam? — jęknęła.

Ale stop! Któż to przy aparacie?

Ten głos znajomy, kochany.

Ależ to Edgar, nieznosny, niegrzeczny Edgar, który tak długo ją martwił brakiem wiadomości o sobie.

Krzyknęła głośno z uciechy, roześmiała się i skoczyła na równe nogi z łóżka. Smukła, elastyczna figurka w błękitnej, w złociste plamy pyjamie nachyliła się niecierpliwie i ciekawie nad czarodziejskim pudełkiem telefonu, by nie stracić ani jednej zgłoski ze słów ukochanego chłopca.

Oczęta śmiały się.

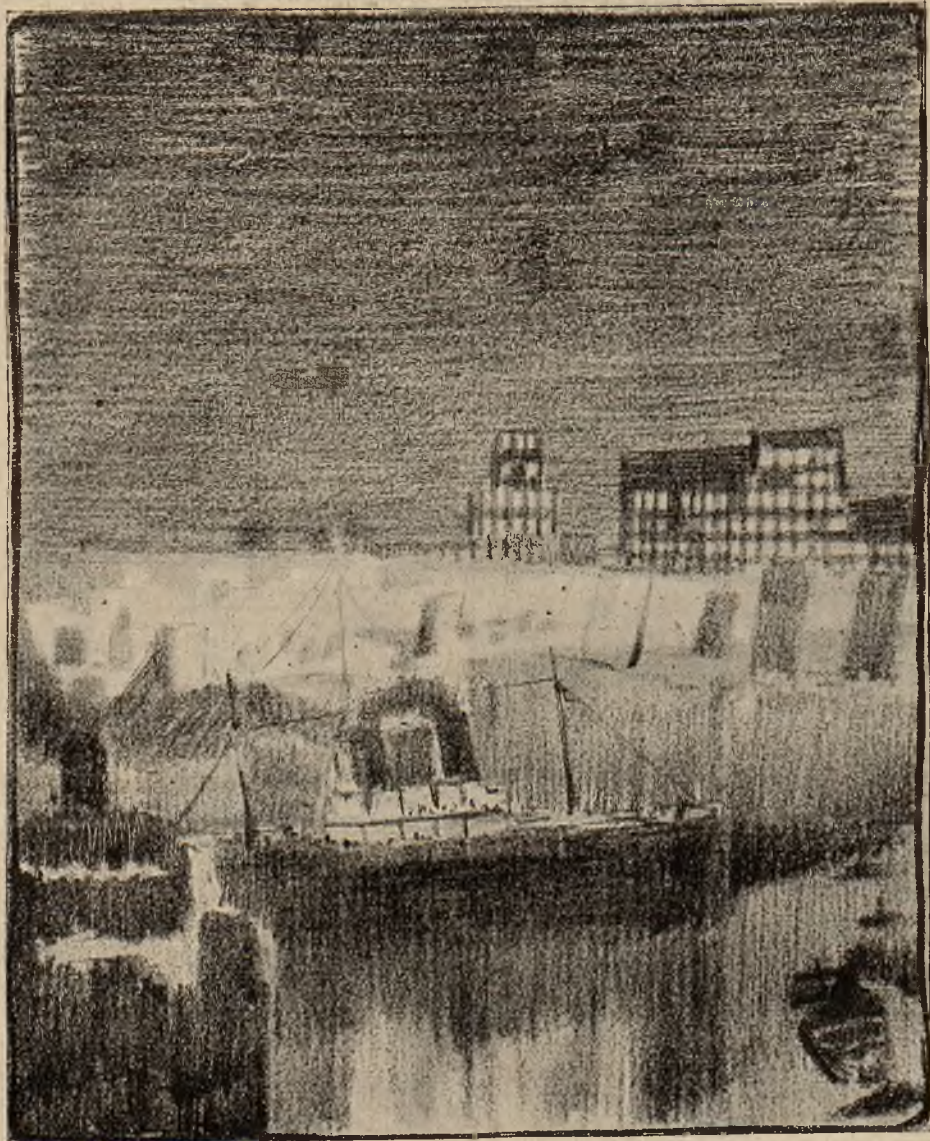
Rozburzone kędziory złotą falą spłynęły na plecy i rozsypały się po twarzy. Rozmawiając wstrząsnęła główką i odgarniała je białą rączką z czoła.

— Przyjeżdżaj... Czekam ze śniadaniem — nagliła „marnotrawnego kochanka”, tak niespodzianie spadającego skądś z nieba na terytorjum snów miss Djany.

— Czekam — — —

Odłożyła słuchawkę i zaplatając dłonie na karku przeciągnęła się rozkosznie.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Parowiec zatrzymał się..